

się! — powtarzał sobie w radości, od której mu biło serce i jaśniało w oczach wszystko.

Bromirski zbudził się także.

— Jakże tam? — zawołał ku niemu radośnie Ignacy.

— Bardzo dobrze, jak widzę, — odpowiedział mu towarzysz.

Ignacy zaśmiał się.

— Wypaliśmy się obaj znakomicie! — Nogi bolą jeszcze trochę, ale to nic! — zawołał rażno.

— Ze mną jakoś mniej znakomicie, — rzekł Bromirski.

— Cóż takiego? — zaniepokoił się Ignacy z tą samą żywością.

— A cóż, — przychodzi w końcu i to. Ponoś nie pójdę z tobą, kolego, dalej. Jeśli mnie tu przetrzymają, tem lepiej. Jeśli nie, położę się pod chojakami litewskimi, aż do czasów trąby archanioła.

Ignacemu, gdy posłyszał o swem odejściu, nagle odpadła żywość, jakby popiół przysypał radość.

— I ja się nie mam po co spieszyć, — rzekł po chwili. — Widzieliśmy, co się dzieje. Niepodobnieństwo odszukać całą dywizję, a cóż dopiero kompanię jakąś tam...

— Tak? — spytał Bromirski, — ano, jeśli tak... pewnie, to pocóż masz się spieszyć?

— Cóż to, — powiedział Ignacy, ruszając ramionami, — nie moja wina. Tego żaden obowiązek nie może wymagać, aby się wlec boso i nago po śniegu i zdychać z głodu. I poco to komu? Co komu z tego przyjdzie?

— A pewnie, — potwierdził Bromirski.

Ignacy skończył się ubierać w milczeniu. Potem wyszedł do sieni, ostrożnie, by stuknięciem drzwi nie zbudzić domowych.

Wyszedł przed dom. Już Telesfor kręcił się koło gospodarstwa. Oprócz niego był jakiś chłopak wyrostek, silny, zacięty ponuro, i baba. Ignacy zwrócił uwagę na las milczący wokół.

Musiło to być mieszkanie gajowego, tylko nieco porządniesze, może z celem pobocznym służenia za gościnę przy polowaniach.

Tuż zwierzały się gałęziami podniebne jesiony, nakrywając z wysoka niskie, przypadłe do ziemi strzechy zabudowań. Gąszcz lasu, siwa od nagich gałęzi i zarośli, tonęła i zacierała się w mgle gęstej i białej.

Ignacy rozważał kierunek, w którym iść może teraz wojsko. Gdy tylko wyszedł z przed oczu Bromirskiemu, ogarnął go głęboki smutek. Nad słuchiwał ciszy lasu, która czasem przyniosła trzask łamiącej się gałęzi, albo dalekie krakania.

Wtem usłyszał skrzyp drzwi, i obróciwszy się, ujrzał zakutaną w barani kożuszek starą jejmość o tragicznie zastygłych rysach.

— Waćpana już pewnie w pole ciągnie, do towarzyszy, — rzekła, starannie dbając o okazanie wielkiej grzeczności. — Ale ja ci co innego zaprojektuję: zostańcie waćpanowie obaj tu u nas. My tu wielkiego nic wam nie damy, ale czem chata bogata, tem rada. Ot, po prostu, po staroświecku. Jak jest, to czemu się z drugimi nie podzielić?

Ignacy jął okazywać zmieszanie, niepokój, czy jej subiekcyi nie sprawia.

Jejmość tem mocniej nastawała.

Wrócili oboje na śniadanie. Wyszła i córka.

Ignacy zdumiał, oczarowany, onieśmielony. Czy to ranek, czy nowa jakaś i przesłicznie dobrana niebieska jak pawie pióra suknia, ale panna Konstancya wyglądała tak cudnie, jak nigdy nie przypuszczał, że mogła wyglądać. Twarz i szyję odkrytą miała oblane jakimś subtelnym, różanem światłem, jak zorza.

Powitała go spojrzeniem ciekawem i chętnem, ale tak krótkim, tak szybko zabranem i ukrytem w lekkim rumieńcu. że uczył w niem jakby wstyd i obawę przed nim, od czego, cały wezbrał nagłą tkliwością, chęcią uspokojenia, przepraszania, błagania o coś — i kompletnie bezmyślnie coś mówił i robił, zasiadając do stołu.

— Kostusiu! — zniecierpliwiała się matka. — Ja mówię, a ty nie słuchasz. O czem ty myślisz? Idź, czy niema białego chleba.

Dziewczyna poczerwieniała nagle, i wyszła spie-

sznie. Ignacy powtarzał w myśli, że ją woli od wszystkich, że go wszystko nic nie obchodzi, że ją kocha.

Po śniadaniu przenieśli się wszyscy do izby, gdzie leżał Bromirski. Ignacy z butną decyzją zostania.

Bromirski, dźwignąwszy się z trudem na łokciu, usiłował jaknajlepiej przywitać te panie. Przeprosił je za najście, chwalał ich gościnność i nadzwyczajną dobroć.

Jego głos ciepły, a głęboki, wytworność i grzeczność, których ze swobodą używał, podziały na tychmiast na kobiety.

Matka, jak koń bojowy grzebiący nogą na odgłos trąbki, natychmiast wyprostowała się, rozjaśniła twarz uśmiechem i poczęła również z eleganckiego tonu odpowiedź z zaofiarowaniem gościny na czas nieograniczony.

Córka, która mniej w życiu widziała i której wytworność gościa nie przypominała żadnych salonów i wielkiego świata, zapatrzyła się na niego, w podziwie dla niego samego, tak jak go widziała:



Stara jejmość patrzyła, ruszając ustami. Za nią stała druga kobieta.

ze zmęczoną, brązową twarzą, ze srebrno-siwymi, krótkimi i gęstymi włosami, z oczyma mądrymi i ustami z jakimś uśmiechem niedokończonym, drwiącym może, może pobłażliwym w kątach. Leżał i z jego długiej i chudej postaci widziała tylko podniesiony tors, szerokie ramiona, i dobrze osadzoną na swobodnej szyi głowę.

Już była postanowiła całą radość i ciekawość z przybycia tych niespodziewanych w odcieciu od świata mężczyzn przenieść na Ignacego. Teraz ujawniła jej się nowa pozycja, ten starszy, wyższy oficer, od którego tchnęło niezależnością osobistą, pewnością inną całkiem od młodej, zuchowatej buty Ignacego, przechodzącej co chwila w zamodnienie przed nią. Ignacy jej pochybiał i cieszył ją, ten leżący pociągający i niepokoił, wzbudzał chęć nawpół wrogą zdobycia od niego podziwu, i gotowość uczczenia go, bezwzględne posłuszeństwa, jak ojcu, jak starszemu, gdyby tego łagodnie zażądał.

Ignacy, tknięty jej zapatrzeniem, w którym widział wyraźny podziw i szacunek, odczuł właściwą krótkość swej znajomości i wszelki brak podstaw do liczenia na cośkolwiek z jej strony. Ucisnęło go to jak gład zwalony na duszę.

Bromirski odpowiadał tymczasem:

— Trudno mi, leżącemu jak kłoda, certować się z przyjęciem tak uprzejmie ofiarowanej gościny, choć jasno sobie wyobrażam, ile tem trudów, kłopotów i wydatków ściągnę na głowę pani dobrodziejki i jej córki.

Matka znów odpowiadała w podrygach staroświeckich. Córka, uśmiechnąwszy się jak anioł, rumiany od ognia płonącego w kominie, rzekła z wy-laniem:

— Nic a nic. Najmilszym będziesz dla nas waćpan gościem, któremu ja... my z mamą... — koniec utonął w rumieńcach i uśmiechach.

— Przyznam się zresztą waćpanu, — mówiła matka, biorąc teraz ton poufny, — iż bardzo mi miło i dlatego jeszcze mieć tak zacnych gości, że ten Telesfor z Apolinarym, chłopcem, niewielka to dla nas w razie czego obrona. Panowie dwaj, to już inna konjunktura.

— O! — rzekł Bromirski, — pani dobrodziejko, ile zdołam, tyle dopomogę, choć nie wiem teraz wart. Ale mi to nad wyraz przykro, że muszę osłabić nadzieje pani dobrodziejki. Widzisz pani dobrodziejka sama, jak w złym jestem stanie.

Spojrzenie starej damy poszło teraz na Ignacego, i uśmiechnąwszy się mile, zagadnęła:

— Ale pan Kleszewski będzie nas wszystkich bronił.

Była na rozdrożu. Oprócz myśli o obronie w razie napadu, silnie też w niej tkwiły inne nadzieje. Obejrzała dokładnie i oceniła obu gości okiem doświadczonem i osądziła ich obu jako ewentualnych mężów Kostusi. Zrazu wydał jej się Ignacy lepszym: był młody, z dobrego domu. Opatrzność go niewątpliwie przywiodła tu z troski o Kostusie.

Teraz Bromirski wydał jej się jeszcze lepszy. Ignacy młodzik, dzieciak, cóż on mieć może? — lat dwadzieścia, a i to niewiadomo. Bromirski człowiek dojrzały, pewny, wyrobiony. Byle nie był żonaty. Obrączki nie miał, ale kto go tam wie. Siedziała i rozmyślała o podstępie wywiadowczym i zwrocie postępowania w razie jednym lub drugim.

Ignacy wśród tego odpowiadał jej:

— Żołnierzem jestem, pani dobrodziejko, i długo zostać nie mogę.

Powiedział to, by przecież poruszyć pannę, by przecież zwróciła znów na niego uwagę. Nie śniło mu się odchodzić.

Słowa jego największy wpływ wywarły na matkę.

— Ale ot! — rzekła żywo, udając pogroźkę, — ani mi tam waćpan o tem nie wspominaj. Zostaniesz i koniec. Już tam ci nieszczęśnicy niech giną, skoro takie Boskie dopuszczenie, ale skoro waćpana Bóg najwyższy tu doprowadził, że widać, że coś z waćpanem zamierza. Grzechby sprzeciwiać się.

Teraz i panna zwróciła się do niego, zbudzona słowami matki:

— Zostań waćpan, zostań! — szepnęła, podniosłszy nań oczy.

Przez Ignacego przepłynęła rozkosz. Miał wrażenie na sekundę, jakby od szczęścia rozszerzyła mu się, urosła nagle dusza. Od tego wzrostu wstały też jasno nagle inne jej, dawne władczynie.

Stałaż jak nad otwierającą się niespodzianie przepaścią. Kadecka modlitwa „Święta miłości kochanej ojczyzny“ z tak mocnem wzruszeniem i zaprzysiężeniem wierności w duszy, jak nic innego potem nie wzruszało. Honor wojskowy, który nigdy nic nie kosztował aż do ostatnich czasów, zawsze sam z siebie był czysty i cały. I z drugiej strony ta największa rozkosz, to najwierniejsze szczęście, jeszcze z dzieciństwa i przez całe życie, co było najpiękniejszego, najmilszego, najgłębszego, najbardziej swego, czem właśnie jest ona, ta panna z takimi oczyma, z tymi ustami, tą postacią. Jak się z tem rozstać, co jest samym sobą, co jest wszystkim? Ją odrzucić, gdy go chce zatrzymać?

— Tamto odrzucić?

Widząc, że nic nie mówi, matka, która wstała i miała się ku drzwiom, kiwnęła na córkę. Gdy wyszły do sieni, szepnęła jej cicho:

— Trzeba go, Kostusiu, zatrzymać.

Ciąg dalszy nastąpi.